

Dwa listy do Barbary Czerwijowskiej

1

[Cluj], 27 III 1947

Kochana Basiu,

wstyd doprawdy, ile Twoich listów leży u mnie w teczce do załatwienia. Cze-
kałam ciągle, aż będę miała jakie kopie innych moich listów do dołączenia do
Twojego, tak abyś pod jedną marką miała jak najwięcej wiadomości o mnie.
Pisanie jednak ciągle szwankuje u mnie. Posłałam Ci parę pocztówek, które
mam nadzieję zaradziły jakiemuś już kompleksowi prawdziwemu u Ciebie na
temat mojego przyjazdu.

Uspokój się, nie będziesz nigdy miała żadnej odpowiedzialności za namówienie
mnie lub odmówienie od przyjazdu, będzie on bowiem zależał od rzeczy czysto
materialnych. Powtarzam raz jeszcze, że jestem Ci niezmiernie wdzięczna za
zaproszenie. Pamiętasz może jeszcze, jak właśnie z Rumunii bodajże w 1937 r.
pisałam do Ciebie, że chciałybyśmy, po umieszczeniu Grabosi¹ w domu starców,
zamieszkać razem z Wami. Nawet tak to sobie układałam, że mieszkałybyśmy

¹ Józefa Grabowska, przedwojenna gosposia poetki, zwana przez Iłakowiczównę i jej bliskich
Grabosią, „najdroższa w całym moim życiu” (K. Iłakowiczówna, **Niewczesne wynurzenia**,
Warszawa 1958, s. 24). Iłakowiczówna pisała o Grabosi wielokrotnie w **Trzymieńskim zającu**.
Księżde dygresji (Matka Boska na Powiślu) (Kraków 1968) i **Niewczesnych wynurzeniach**
(**Krajobraz z jednego okna**).

na Lipowej. Twoje córki² na trzecim piętrze, a my (i kuchnia) – każda w swoim pokoju, w moim mieszkaniu. Odpisałaś mi wtedy odmownie, to też nie dziwi się, że dzisiaj zajechanie do Ciebie wydaje mi się szczytem niedelikatności, do którego chyba jakaś ostateczna potrzeba zdołałaby mnie skłonić. Nawet w obecnych ciężkich warunkach nie mogłabym mieszkać u najbardziej obcej i obojętnej gospodyni, o której myślałabym, że wołałaby, żeby mnie u niej nie było. Cóż dopiero, kiedy chodzi o osobę bliską, której chciałam zawsze ujmować, nie dodawać ciężarów. Jesteś przepracowana, zmęczona nieludzkimi czasami, w których żyjemy, całym wreszcie życiem, które wrażliwości Twojej nie oszczędzało, odwykłaś ode mnie dawnej zupełnie, a nowej nawet nie znasz. Na pewno lepiej jest, żebyś została z wrażeniem mnie „przed złożonym lustrem, poprawiającą włosy przed wyjściem, w białej sukni”, jak to tak ładnie napisałaś w ostatniej Twojej pocztówce z 1944 r., niż żebyś musiała znosić wkoło siebie moje brzydkie tobołki, czarne paznokcie i cuchnące ubóstwem odzienie. Jest to wszystko jednak zupełnie nieinteresujące i nie warto się tym zajmować. Podniesiona obecnie trzykrotnie taryfa kolejowa, brak najmniejszej choćby uczynności ze strony konsulatu w Buk[areszcie], brak wiadomości dla mnie od osoby, której miano

² Córki Barbary Czerwijowskiej i Jana Czerwijowskiego: Janina Czerwijowska (1916–2007) i Krystyna Czerwijowska (1915–1956). Kształciły się w „Cisowym Dworcu” Olgi Małkowskiej w Sromowcach Wyżnych, następnie Janina ukończyła liceum ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej w Warszawie w 1935 roku i Akademię Sztuk Pięknych w 1948 roku (dyplom z malarstwa), dyplom z konserwacji (1952). W czasie powstania warszawskiego była łączniczką w Komendzie Głównej AK ps. Cecylia. Na warszawskiej ASP od 1951 roku kierowała Usługową Pracownią Gruntowania Płócien, a od 1971 roku Pracownią Technik Malarskich i Kopii przy Katedrze Konserwacji. Prowadziła zajęcia z technologii malarstwa i konserwacji, a jako konserwatorka wykonywała liczne prace m.in. sgraffita na elewacjach kamienic Starego Miasta w Warszawie, kopie polichromii, freski i konserwacje w kościołach w Czerwińsku, Boguszycach, Działoszynie, Kotłowie, Niedzborzu, Wrocławiu i Wilanowie. Krystyna maturę zdała w Żeńskim Prywatnym Liceum Janiny Popielewskiej i Janiny Roszkowskiej. Studiowała w Wyższej Szkole Muzycznej im. Fryderyka Chopina. W czasie oblężenia Warszawy w 1939 roku pracowała jako sanitariuszka, była kontuzjowana. W okresie okupacji działała w konspiracji jako łączniczka ZWZ (później AK, pseudonim Marta), od 1943 roku przeszła do „Re-Cha”, gdzie pod pseudonimami Aleksandra i Oleńka pracowała jako redaktorka i kolporterka gazety konspiracyjnej „Żywią i bronią”, której archiwum uratowała. Tuż po powstaniu wywieziona została na roboty do Niemiec, pracowała jako szpularka w Meissen pod Dreznem. Po powrocie w Warszawie była redaktorką i kierowniczką „Nasłuchu” w „Gazecie Ludowej”, ukończyła wyższy kurs dziennikarski. Należała do Związku Zawodowego Dziennikarzy RP; w 1948 roku wstąpiła do Polskiego Stronnictwa Ludowego i pracowała jako redaktorka w sekcji angielskiej w dziale literatury pięknej w „Książce i Wiedzy”, później w „Iskrach” – do 1954 roku; od roku 1955 w „PIW”. Pracę przerywała z powodu nawracającej choroby. Na potrzeby pracy redaktorskiej tłumaczyła poezję i prozę z języka angielskiego na polski, m.in. wiersze do **Sagi rodu Forsytów** czy **Mieszkańców otchłani** Londona; przekłady **Piosenek Murzyńskich** do Działu Aktualności „Książki i Wiedzy”; a na język francuski – polskie piosenki ludowe do muzyki i tańca. Aranżowała teksty do audycji radiowych, m.in. **Koncertu życzeń, Z muzyką przez świat** dla polskiego radia. Pisała wiersze, które nie ukazały się nigdy drukiem i komponowała na fortepian. Zmarła śmiercią samobójczą, wyskakując z okna domu przy ul. Radziłowskiej. Jej i Janinie Kazimiera Iłakowiczówna zadeedykowała i poświęciła przedwojenne **Rymy dla Lalki i Krzysi Czerwijowskich** z tomu **Rymy dziecięce** (1922), a **Ścieżka obok drogi** (1939) jest monologiem kierowanym do siostrzenic. Krystyna jest bohaterką elegijnego dyptyku **Krzysi z „Rymów dziecięcych”** z tomu **Szeptem** (1966).



Krystyna i Janina Czerwijowskie
fot. ze zbiorów Zbigniewa Wołka

odsylać dla mnie wszystkie honoraria w kraju, czy choć jedno honorarium te wszystkie „Kuźnice”, „Wsie” i „Odrodzenia” przysłały – wszystko to odwlecze na pewno niesłychanie mój wyjazd, którego przecież nagle nie mogę wykonać, tylko bym musiała planować ze cztery miesiące naprzód. Mniejsza naturalnie o to i Ty, droga, zupełnie o tym przestań myśleć. Na pewno i tak masz dość swoich własnych kłopotów, nawet i bez powodzi. Czytam zawsze gazety warszawskie sprzed miesiąca mniej więcej, więc przeżywam wszystko Wasze au ralenti³...

Wyjaśniłam już, że ogromnie bym pragnęła Twojej najdokładniejszej biografii od 1940 r., tj. od wyjazdu Twego z Rumunii. To, co piszesz o mojej znajomości tego okresu, jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Nie znam zupełnie Twego życia, nie tylko z tego okresu, ale w ogóle, ale już specjalnie z tego czasu, kiedy można było tylko pisać pocztówki o pogodzie. Każdy Twój list jest dla mnie rewelacją i tylko takich biograficznych Twoich listów pragnę. Nie wiadomo, jak długo jeszcze każda z nas będzie żyła, ja osobiście o wiele więcej myślę o wielkiej i nieuniknionej

³ Au ralenti (fr.) – w zwolnionym tempie.

podróży niż o podróży do kraju. Ostatecznie były takie czasy, kiedy Ty byłaś w Białymstoku, a ja w Stanisławowie, kiedy z listów dowiadywałyśmy się wszystkiego o sobie. Jak wrócę, wpadnę znowu w jakiś kierał, a z Ciebie nie będzie można przy spotkaniu ani słowa wydobyć, więc myślę, że teraz jest jedyna, może ostatnia okazja, żebyśmy się czegoś o sobie dowiedziały. Zdawało mi się, że jasno to postawiłam w długim moim liście, ale może nie bardzo miałaś czas go odczytać albo ja dużo rzeczy myślałam, a mało napisałam. I ja także nigdy nie wiem, czy nie piszę czegoś już po raz drugi, ale czy to nie wszystko jedno!? Można i parę razy napisać i poczytać. Ja i tak wieczorami odczytuję listy tak, jakbym je dopiero pierwszy raz otrzymała. Tylko proszę Cię, nie dawaj ich nikomu do czytania, tylko opowiedz, jeśli koniecznie chcesz, to co musisz koniecznie opowiedzieć. Nie cierpię wszystkiego gromadnego, potrzebuję z ludźmi stosunku osobistego albo żadnego.

Właściwie zostało mi osób bliskich tak mało, że każda z nich jest dla mnie największym skarbem, o każdej chciałabym wszystko wiedzieć. Niestety ludzie w kraju zupełnie tego wygłodzenia osób, tak dawno wyrzuconych za burtę, nie rozumieją i albo wcale nie odpowiadają na najprostsze dla mnie pytania, albo wysnuwają najdziwniejsze z nich wnioski. Ja np. pytam każdego, co widać u niego z okna, bo zapomniałam zupełnie widoków Polski, klimatu, budowli, a także, bo chcę się przygotować do widoku zmian i zniszczeń, tymczasem tak trudno o to się dowiedzieć od każdego, a ja potem nic nie mogę sobie wyobrazić i list mój z całym jego wysiłkiem wpada w próżnię. Karla Przewłocka⁴ i Oleczka Platerowa⁵ piszą mi obie „Janina⁶ dawno umarła” i nic więcej, ani kiedy, ani na co, ani gdzie; Alina Augustowska⁷ pisze, że ks. Żongołłowicz⁸ długo chorował, zanim umarł; to był największy mój przyjaciel, a Janinę kochałam z całego naprawdę serca i marzeniem moim zawsze było choć tyle mieć jej przywiązania, żeby się chciała u mnie zatrzymywać, kiedy przyjeżdżała z Łotwy do kraju. Teraz znów

⁴ Karla Przewłocka, właśc. Karolina Maria Hutten-Czapska (1891–1967), żona Henryka Jana Stanisława Przewłockiego, siostra Marii Czapskiej, pisarki, i Józefa Czapskiego.

⁵ Oleczka Platerowa, właśc. Olga Plater z Broelu (ok. 1890–1952), córka Aleksandra Konstantego Michała Platera z Broelu i Marii Ciechanowieckiej; żona Adama Ludwika Plater-Zyberka (1880–1922), brata Zofii Buynowej z Platerów-Zyberków. Iłakowiczówna poświęciła jej wspomnienie **Oleczka w Trzyemeńskim zajacu**, gdzie pisze m.in., że będąc w gościnie właśnie u Adama i Oleczki Zyberk-Platerów w czasie rewolucji rosyjskiej, napisała **Opowieść o Królewiczu La-fi-Czaniu**.

⁶ Janina Plater z Broelu (1892–1940), córka Aleksandra Konstantego Michała Platera z Broelu i Marii Ciechanowieckiej; siostra Olgi, żona Jerzego Floryana Plater z Broelu (1875–1943).

⁷ Alina Augustowska z Kuleszów (zm. 1975) – wieloletnia przyjaciółka Iłakowiczówny. Żona Witolda (ur. 1907), farmaceuty, przed wojną właściciela apteki w Wilnie, po wojnie prowadzącego aptekę w Gdańsku-Oliwie; matka Kazimierza, powstańca warszawskiego (1916–2007) i Zygmunta (1913–2008), rotmistrza AK, związanego z konspiracyjną organizacją „NIE” w Wilnie, kilkakrotnie aresztowanego przez UB i więzionego do 1956 r.

⁸ Bronisław Żongołłowicz (1870–1940), ksiądz, profesor prawa kanonicznego, polityk BBWR. Dziekan (1919–1923) i prorektor (1920–1922) Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. W latach 1930–1936 wiceminister w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

nic o nich nie wiem, nie wiem, jak o nich pomyśleć. Stach Mycielski⁹ pisze raz na pół roku i nigdy w listach nie odpowie mi na żadne pytanie, nie poda żadnego adresu, a ja ginę z niepewności, daleko straszniejszej niż niepewność o honoraria. Poczta tyle kosztuje, listy tak wolno chodzą, lata płyną, chodzi się ciągle nie z jednym nożem, z setkami noży w sercu. Sterczą jak drzazgi i ani ich raz wyrwać i odrzucić, ani zaleczyć się nie można... Nic na to nie poradzisz, moja droga, i niepotrzebnie Ci się skarżę, ja, która tak nienawidzę, kiedy ktoś narzeka...

Teraz napiszę Ci o moich biednych żydach, których nie mogę zapomnieć i którzy nie wrócili. Chodzę na to podwórze jak pies na ruiny i omal że nie wyję. Było ich troje: Schwarz samu, Schwarz neni i córeczka, Bobby 16-letnia. Byli to chasydzi, bardzo przywiązani do swoich obyczajów i wierzeń, palili różne ogieńki, to lampki, to świeczki z różnych okazji, mieli jakiś tajemniczy papierek ze znakami na drzwiach i wszystko było u nich koszer, tak że czułam się poniekąd jakimś nieczystym stworzeniem przy nich. Byli ogromnie brzydzy, malusieńkiego wzrostu, obie panie tak krótkowzroczne, że prawie ślepe. Czosnek odgrywał u nich ogromną rolę. Nie było między nami przyjaźni, ale mieliśmy, mimo wzajemnego z siebie chronicznego niezadowolenia – jak to lokatorka i gospodarze – pewne względy wzajemne. Schwarz neni zawsze mi dawała na talerzyku trochę każdej smaczniejszej rzeczy, którą ugotowała, a na Boże Narodzenie cały talerz z ciastem, ja znów dwa razy podarowałam jej kwiaty, zawsze prymulkę czerwoną, na święta Purrymu¹⁰, jedyne wesołe święta u żydów, bo oni mają wszystkie święta strasznie smutne i żałobne. Niesłychanie Schwarz neni zdumiewała się nad tym kwiatkiem i mawiała, że od lat dziewczęcych nigdy od nikogo kwiatów nie otrzymała. Został po niej ostatni kwiatek w rozrytym, rozkradzionym mieszkaniu i odziedziczyli go żołnierze niemieccy. Bobby grywała na fortepianie po całych dniach i przechodziła jednocześnie konserwatorium, szkołę średnią i kursy szycia. Zapobiegliwość tych wszystkich trojga osób, ich niemożność pozostawiania w spokoju i zostawienia w spokoju rzeczy czy sytuacji były zatrwajające. Może główną ich cechą był niepokój. Jeśli nie podwyższali mi ceny, to przynajmniej coś z pokoju musieli coraz to wyciągnąć, dać gorsze rzeczy do pościeli, zamienić dywanik, mebel, żeby nie wynajmować za tanio. Potem, kiedy ich zabrano w tak okropny sposób, byłam rada, że nigdy do

⁹ Stanisław Mycielski (1891–1965), syn Józefa Mycielskiego i Zofii Taczanowskiej, po śmierci ojca właściciel i administrator rodzinnego Kobyłepola i Szczepankowa w Wielkopolsce, uczestnik powstania wielkopolskiego i kampanii w 1939 r., w czasie której trafił jako więzień do obozu oficerskiego w Woldenbergu. Przed wojną, jako bibliofil, ale i literat, autor wspomnień z pobytu w Afryce **W sercu dżungli** z 1932 r., rozproszonych wierszy i opowiadań; zaangażowany w rozwój sztuk pięknych, gościł w swym dworze artystów i pisarzy, m.in. Leona Wyczółkowskiego, Władysława Marcinkowskiego i Kazimierę Łłakowiczównę. Po wojnie Mycielski mieszkał w Poznaniu, pracował kontraktowo w Bibliotece Uniwersyteckiej. Łłakowiczówna opisała Mycielskiego i kobyłepolskie obyczaje w **Trazymeńskim zającu (Starosta Charleston)**.

¹⁰ Święta Purrymu, właśc. Purim, święto żydowskie o charakterze radosnym, karnawałowym, obchodzone na pamiątkę opisanego w Księdze Estery zwycięstwa Mordechaja nad Hamanem, perskim ministrem, który skazał na zagładę Żydów za rządów króla Achaszwerosza.

większej scysji między nami nie doszło i że zwłaszcza od zimy z 1943 r. na 1944 r. byłam specjalnie przyjazna w obejściu z nimi, biedakami. Od końca marca tego roku Kluź zaczął zapelniać się Niemcami. Jechali wszyscy naszą ulicą od kolei i całe miasto zrobiło się od nich szare; zaraz potem radio zaczęło podawać wiadomości szczujące na żydów, potem naczepiono im żółte gwiazdy, potem zaczęto krępować co do wychodzenia z domów. Wreszcie zapowiedziano, że mają ustąpić z mieszkań i przenieść się wszyscy do dzielnicy biedaków na przedmieściu. Już mój gospodarz upatrzył był sobie dwa pokoiki, kiedy nadszedł straszny kat żydowski, jakiś zbrodniczy wprost wiceminister, który kazał wszystkim żydów wysiedlić z miasta do cegielni pod miastem, gdzie był tylko dach na palach i wilgotna łąka. Wówczas zaczęto co dzień opróżniać inną ulicę. Żyło się w nieopisanym strachu, cała rodzina i wszystkie inne w domu, bo dom był prawie wyłącznie żydowski, ściągali w toboły owe 50 kilo rzeczy, które im wolno było zabrać ze sobą. Biedna młodzież jednak do ostatniego dnia grała na podwórzu w ping-pong. Węgierskie władze z właściwą sobie bezduszną systematycznością przeprowadzały całą akcję. Nie wolno było wypowiedzieć ani słowa współczucia lub krytyki, najprzystwoitsi ludzie uważali, że skoro takie jest prawo, to trzeba je wykonać, największa tutaj działaczka katolicka, kiedy poszłam do niej, żeby jakiejś przecie ludzkie słowo posłyszeć o tej całej okropności, powiedziała mi z wyrzutem: „Że też Pani tylko żydów i bolszewików kocha” – a to dlatego, że już od stycznia, tj. od upadku Stalingradu, uczyć zaczęłam rosyjskiego moich najzdolniejszych uczniów. W owe dni wywleczono też do ghetta polską karaimkę, śliczną młodą kobietę, która wyszła za żyda rumuńskiego, ale nawet z nim nie żyła, tylko z matką i siostrą. Chodziłam do starostwa i tłumaczyłam, że to jest przecież Polka, że powinno się ją traktować jako wypadek wątpliwy i najwyżej zamknąć razem z cudzoziemcami w obozie dla żydów obcokrajowców w Budapeszcie, byli jednak tak tępi, że powtarzali tylko ciągle, że podpada pod prawo i że prawo jest prawem. Zosia Anekstejn¹¹ nigdy nie wróciła, miała obdartą nogę, zabrano ją w niewygodnym obuwiu, na pewno poszła wprost na śmierć...

Kiedy rzeczy biednych Schwarzów były już tak jak spakowane, przechodząc przez zdewastowane od pakowania mieszkanie do wyjścia – wychodziłam tylko na absolutnie konieczne lekcje – posłyszałam szlochanie. Zajrzałam do pokoju gospodarzy, dokąd zwykle, jako osoba niekoszerna, nie bardzo wchodzić byłam zwykła. Wśród nieopisanego nieładu siedziała pod piecem Schwarzen i szlochała. Nikogo więcej nie było; mąż i córka skorzystali z dwóch godzin, w których żydom wolno było wychodzić z domu i poszli do Rady Żydowskiej. Ukłękłam przy niej na ziemi i objęłam ją, i tak kiwałyśmy się razem. Powiedziałam jej: „Pani jest pobożna. Niech się Pani modli”. „Ja już nie wierzę

¹¹ Zofia Ankenstejn (Ankenstein) – wspomiana przez Iłakowiczównę kilkakrotnie w **Niewczesnych wynurzeniach**: „I bez wieści zginęła nasza piękna Zosia Ankenstein, a matka jej Chasza, powoli, ciągle w oczekiwaniu jej powrotu, kamieniała z bólu” (NW 42).

w mego Boga”, odpowiedziała mi. „Nie mogę Pani polecać mego Boga w tej chwili, kiedy chrześcijanie robią takie potworne rzeczy”, powiedziałam, „ale powiem Pani jedno, że chrześcijanie nie tylko żydów męczą, ale przecież powstają jeden na drugiego, najokropniej jeden z drugim się obchodzą. Bóg jest nie z tymi, którzy to czynią, ale przeciw nim. Chrystus jest z krzywdzonymi, nie z chrzczonymi”. „Nigdy niczego od życia się nie spodziewałam”, mówiła Schwarz neni, „za mąż wyszłam za byle kogo, męża nie kochałam, bogactw nie pragnęłam, byle córkę odchować i uszczęśliwić. A teraz, jeśli nas rozłączą, obie mamy taki krótki wzrok, że się nigdy nie odnajdziemy. To jedno mnie najgorzej dręczy, że się pogubimy...”. Jeszcze ostatniego dnia upiekła biedaczka ciasto z orzechami i – jak zawsze – mnie poczęstowała. Jeszcze w wilję najsumienniejszą sprzątnęła mi pokój i pokazywała z wschodnią uprzejmością mieszkanie swoim ewentualnym następcom, bo zaraz już zaczęły przychodzić ludzie, żeby po nich zająć mieszkanie. Najstraszniejsze było to, że życie szło normalnie, jakby przychodzili przekupnie, gotowało się, kąpało, a już opróżniano sąsiednie ulice. Kiedy przyszli zabrać ich, przybiegła pędem śliczna posługaczka, Węgierka, która dwa razy na tydzień przychodziła robić gruntowne porządki, żeby pomóc im wynieść toboły. Malutkie to było, cherlawe, a każdemu wolno było zabrać 50 kilo bagażu. Zabrano im to i tak przed wyjazdem... Otóż ta posługaczka była zupełnie jak te biblijne niewiasty, które szły na Golgotę obok pochodu z krzyżami. I zupełnie tak jak w ewangelii policja odtrąciła tę posługaczkę najostrzejszym wymyśleniem. Nie zapomnę jej spłakanej twarzy i krzyku Bobby: „Spóźnimy się, spóźnimy...”. Zupełnie jakby chodziło o pociąg na wycieczkę. Detektyw powiedział: „Trzeba być silnym, trzeba być silnym...”. Całe miasto płakało i zabierało sobie rzeczy żydowskie, żeby ich nie zostawiać Niemcom. Stałam na balkonie i widziałam, jak odjeżdżali wygodnym dość wozem z obojętnym woźnicą, pozornie jakby bez przymusu, z jednym policjantem, nawet niezbrojnym. Nie wolno było ich żegnać, ani im kiwać, toteż to stanie na balkonie wydało się może jeszcze bardziej bez serca, niż gdybym się schowała. Ale na szczęście i tak mnie nie mogli widzieć.

Wyrzucono mnie z mieszkania dwa dni później, ale dano platformę na rzeczy i jeńców rosyjskich do przewiezienia. Obok była komenda placu. Konsystował tam jako tłumacz Volksdeutsch z Kalisza, p. Müller. Ogromnie kiedyś mnie przeraził, zjawiając się u mnie, prosił o lekcje węgierskiego, bo mu powiedziano, że jestem nauczycielką i „umiem wszystkie języki”, ale właściwie chodziło mu o to, żeby mieć z kim rozmawiać po polsku. Tęsknił bardzo do rodziny i do „polskich czasów”, mówił z dużym sentymentem o swoim Kaliszu, gdzie rodzina jego osiedliła się na trzysta lat przedtem. Prosił o polskie książki, które mu też dałam i które mi odesłał, kiedy jego komenda już związała. Po polsku mówił jak Ty i ja. Poznałam też jednego z jeńców rosyjskich, który już po przenosinach moich przychodził do mnie „na czaj”. Müller przysłał mi dwóch Polaków żół-

nierzy pozostających przy koniach. Najpierw byli w 1939 r. zabrani aż na Kaukaz jako komenda robocza, potem, jak tam doszli Niemcy, zabrali ich jako jeńców i zamknęli w obozie, gdzie póty im nie dawali nic jeść, aż się pozgłaszali ludzie „na ochotnika” do pracy przy wojsku. Mój gość był szoferem, ale udał woźnicę i pozostał przy koniach, uważając, że tak ma lepszą szansę zwać. Bardzo był markotny, że wśród Węgrów nie sposób było wiać, bo języka nie rozumiał.

Kartki Twoje są z 28 I; 10 II; 6 i 7 III; 17 III; listy – z 27 XII i 19 I w jednej kopercie i z 7 II w drugiej. Ostatnia zatem jest kartka z 17 marca. List Twój z 7 lutego zrobił na mnie wrażenie jakichś kpin. Tego, co piszesz o „dziecku Fortuny”, po prostu nie zrozumiałam. Ten ogromny dystans czasu, który nas dzieli, wytworzył bardzo wielkie luki, czemu trudno się dziwić. Robię ze swej strony, co mogę, żeby te luki zapełnić. Kto wie, ile jeszcze na to mamy czasu.

Niezmiernie się przejęłam Twoim opisem przejść w domu na Lipowej i pozostania biednego Facia¹². Jak ja to rozumiem, że można siedząc za firanką, uważać, że się jest zasłoniętym od kul! Jak okropnie musiałaś się bać wtedy. Zawsze się modliłam, żebyś się nie bała. Uważam, że strach jest czymś najbardziej w świecie dręczącym. I ja w ciągu tych blisko ośmiu lat tyle się należałam, ostatnio tak jeszcze niedawno, tej zimy w styczniu, kiedy nagle miano nasz dom opróżnić i w 30 stopni mrozu musieliśmy iść na bruk. Jeszcze dziś podskakuję od każdego stuknięcia na dwa metry w górę.

Ściskam Cię,
Kazia

Załączam kopię dwóch listów, żebyś miała więcej informacji o mnie. Proszę, nie udzielaj ich nikomu.

Rps DL/208, k. 15, 16, 17; trzy luźne karty papieru listowego o wymiarach 30 × 21 cm, zapisane dwustronnie na maszynie; brak odbiorcy, nadawcy, koperty, stempla. Stan dobry.

¹² Facio, właśc. Faustyn Czerwijowski (1873–1940), brat Jana Czerwijowskiego i Heleny Protassowiczowej; bibliotekarz, działacz społeczny i polityczny (SDKP; PPS). Współzałożyciel (1907), a następnie dyrektor (1912–1937) Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy; autor podręczników i poradników bibliotekarskich, współtwórca i prezes (1924–1926) Związku Bibliotekarzy Polskich, organizator szkoły bibliotekarskiej przy stołecznej bibliotece. Odznaczony Złotym Wawrzynem Akademickim PAL. W latach 1939–1944 mieszkał w domu Iłakowiczówny na Lipowej, chorym wujem opiekowały się Barbara, Krystyna i Janina Czerwijowskie. Zamordowany w okolicach domu w czasie walk po upadku powstania warszawskiego.

10

[Cluj], 7 VI 1947

Moja najdroższa,

ucieszyłam się bardzo z Twego listu z dnia 28 IV i kartki z d[nia] 10 V. Nie pisząc do mnie przykrego listu, postąpiłaś jak Abraham Lincoln z jednym z generałów w czasie walki bratobójczej w Stanach Zjednoczonych, jak to mam nadzieję przeczytasz w „Przekroju”, jeśli tam będą dalej cierpliwie drukowali mój skrót dobrych rad Carnegiego Dale’a¹³. Abraham Lincoln postąpił dobrze i Ty również. Zupełnie się nie poczuwam do listów srogich, przeciwnie, wyęźlałam cały mój dowcip, żeby wypadły tak jak trzeba, jest jednak znaną rzeczą, że absolutnie nie umiem pisać listów. Polski język wymaga tyle niedomowień, dopełnień, uwarunkowań, żeby rzeczy nie wypadły szorstko, że zupełnie nie mam cierpliwości się z tym peckać i – nie mam racji. Jeśli Ci czymś niechcący dokuczyłam, to bardzo przepraszam, zamiar był jak najlepszy. Nie pamiętam zresztą tego, co pisałam, starałam się pisać jak najbardziej oderwanie, właśnie żeby być pewną, że Ci niczym nie dokuczę, zresztą mnie samą rzeczy terażniejsze zupełnie nie interesują, jeśli chodzi o moją własną osobę. Za to jak najbardziej, jak to już zaznaczyłam co najmniej razy siedem, obchodzisz mnie Ty i sprawy Twoje. Jeśli dla jakichkolwiek bliżej mi niezrozumiałych przyczyn nie chcesz o nich pisać, to trudno, tyłu rzeczy i od tak dawna mi brak, że i ten brak po prostu tylko zaksięguję i będę do innych osób kołatała o ich biografie od 1940 r.

Jestem pewna, droga, miła Basieńko, że jak najlepiej mnie przyjmiesz, zresztą na szczęście te nudne pisma ruszyły nareszcie z miejsca i zaczęły przysyłać forszę, gdzie należy. Jak mi się tam zbierze 20 000 zł, będę miała możliwość zacząć normalne życie nie od zebrania o zapomogi. Boję się tylko, że te pieniądze zaczną się dewaluować, a mój ersatz pełnomocnika nie zorientuje się, nic za nie [nie] kupi, co by można potem sprzedać bez straty, i wszystko przepadnie, jak już tutaj tyle razy mi przepadło to, zbierałam na powrót. Nie ma jednak na to rady, więc nie zamierzam zanadto się tym przejmować. I tak wszystko to, co drukuję, jest stare i „przechodzone”. Od dwóch lat nie brałam pióra do ręki z braku czasu na skupienie. Tymczasem jednak to, co się tam zbiera, jest jedną pozytywną cyfrą w projektach mego powrotu.

To, co piszesz z namowami powrotu, jest wyłamywaniem otwartych drzwi. Powrót mój w zasadzie był postanowiony już w 1939 r., kiedy wyjeżdżałam i nigdy

¹³ Przekładu i streszczenia światowego bestsellera **Jak uszczęśliwić innych i samemu być szczęśliwym?** Dale’a Carnegiego (1888–1955) Kazimiera Hakowiczówna dokonała dla „Przekroju”, w którym pojawiły się jedynie trzy krótkie fragmenty (nr 121, 122 i 136 w 1947 r.). Jako druk zwarty skrót poradnika ukazał się rok później nakładem Księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu (1948), w której pracował Bolesław Żynda, sąsiad Hakowiczówny z Gajowej 4/8.

nie zmieniałam zdania co do tego, nie rozumiem nawet, jak można mieć na ten temat jakieś „zasadnicze” sprzeciwy. Czytam o tym w waszej prasie jak o żelaznym wilku. Po prostu jest ogromnie trudno osobie samotnie mieszkającej daleko od skupisk ludzkich i daleko od miejsca wyjazdu wybrać się. Nie mam nawet dotąd przedłużenia dokumentów osobistych. Od roku konsulac mi tego nie załatwił. Nie mam na ruszenie się z miejsca, na podróż w stronę eszelonu i na wyczekiwanie nań w Bukareszcie. Wreszcie, nawet nie mam sił. Ani na podróż trzytygodniową na koszykach, ani na żywienie się w drodze sucharami, ani na wyskakiwanie z wagonu towarowego bez schodków do ustępów przy drodze. Ani na wleczenie własnych tłumoków. Jak się jedzie kupą znajomych, to co innego. Od roku staram się zebrać taką kupę, ale dotąd daremnie. Jestem jednak pewna, że coś się w końcu napatoczy. Proszę Cię, więc przestań się denerwować tym wszystkim i pisać o tym w każdym liście, bo jest to zupełnie próżne zajęcie i szkoda Twego pióra na to. Przyślij mi tylko, proszę, jaką jedną – ostatnią w tej sprawie – pocztówkę, w której jako moja krewna zapraszasz mnie do siebie na mieszkanie w Warszawie i zaręczasz, że jeśli od razu nie obejmę posady, utrzymasz mnie. Jest to rzecz czysto formalna, ale może się w ew. drodze przydać, jeśli nie będą na przykład puszczali do Warszawy, bo i to jest możliwe. Najchętniej wracałabym w sierpniu, wrześniu, mówiąc ogólnie, bo szkoda lata, jedynej milej chwili tutaj, a tak okropnej w mieście prawdziwym, w dodatku będącym w złym stanie. Ale może wypadnie właśnie wyrzec się lata. Właściwie, będzie tak, jak Pan Bóg przeznaczy.

Jest strasznie miło, że naprawdę oczekujesz mego powrotu nie z niechęcią, jak mi się wydawało, ale z pewną przyjemnością. Zważ, proszę, że mi to pierwszy raz mówisz. Wydawało mi się zupełnie naturalne, że przyjazd mój jest po prostu tylko jak największym kłopotem dla Ciebie. Nie byłoby w tym nic nadprzyrodzonego. Nadprzyrodzone jest raczej cieszyć się z tak niefortunnego przypadku, zważywszy, iż nie jest wykluczone, że mogę przywieźć z drogi nawet wszy, tak jak Ty do mnie w 1920 r., a już pluskwy i pchły na pewno. Zważ także, że wszędzie, gdzie jestem od blisko ośmiu lat, jestem tylko znoszona, więc uważam to za zupełnie naturalne, że obecność moja nikomu miła być nie może. Jest to już jakby tic u mnie, tłumaczyć się z tego, że ośmielałam się w ogóle egzystować. Cieszę się bardzo, że sadzisz kwiaty z myślą o mnie. Ja znowu chodzę od roku na koncerty z myślą o Tobie, chcąc nauczyć się znajdować w muzyce tę przyjemność, którą Ty w niej znajdujesz.

Wcale nie straszą mnie warszawskie czy inne niewygody, ale jednak, jeśli człowiek z największym wysiłkiem i przezwyciężeniem siebie zbudował sobie jakiś [e] takie życie i zaopatrzył się w najniezbędniejsze do niego przedmioty, to nie jest wcale dziwne, że kiedy ma nagle – bez żadnej ważnej potrzeby, np. wypełnienie jakiegoś określonego z[a]dania, podjęcie się jakiejś służby, gdzie jest niezastąpiony, zajęcie się rodzeniem dzieci, wstąpienie do wojska etc. – rzucić

to wszystko, żeby znów zacząć od pustych rąk, bez własnego kąta, bez grosza, nie jest wcale dziwne, że taki człowiek nie ma specjalnego zapału do tej operacji. W Warszawie jest 70 000 bezrobotnych kobiet już i tak, beze mnie.

Jest dowodem najwyższej dobrej woli, że o tym wszystkim piszę. Jest to jasne jak parasol i – nudne jak flaki z olejem. Nie chciałabym wracać do tego tematu i proszę, dajmy już temu pokój. Jak się tak ułoży, przyjadę. Dziękuję za wszystko, przepraszam za wszystko. Pisałam już wiele razy, o co Cię proszę. Ale Ty jesteś jak ciotka Dawida Copperfielda, zamiast rosofu wlewasz mi w usta mieszaninę soli, spirytusu i sosu Worcesterskiego dla orzeźwienia po trudnej podróży. Każdy zresztą jest taki sam, nie wiem, czy mam dwóch korespondentów, którzy mi odpowiadają na pytania i dają te informacje, o które proszę. Nawet moja najpocziwsza Jadzia nie pisze mi, jak się robi żur i barszcz. A list każdy chodzi około trzech tygodni tam i z powrotem.

À propos, miałaś jakieś zupełnie mylne wyobrażenie o tym, że ludzie nie chcą do mnie pisać, mam aż za dużo listów, szkoda, że wiele nierzeczowych, co sprawia, że trzeba na nowo w kółko to samo powtarzać, a czas leci, no i poczta zabójczo kosztuje.

Wracam odtąd znów do swoich biograficznych listów, bo przecie taki jak niniejszy, to ani Tobie, ani mnie nic nie przynosi rozsądnego.

Ściskam Cię najserdeczniej i nie zamęczaj się żadnymi dodatkowymi pracami, bo nie ma rzeczy, która by była tego warta, a już osoby tym mniej.

Twoja Kazia

Tu są podzwrotnikowe upały, lipy kwitną, poziomki przechodzą. Kilo poziomek kosztuje tyle, ile dziesięć moich lekcji.

Załączam w kopii dwa inne listy, żebyś miała więcej.

Rps DL/208, k. 21; jedna luźna karta papieru listowego o wymiarach 29,5 × 21 cm, zapisana dwustronnie na maszynie; brak odbiorcy, nadawcy i stempla. Stan dobry.

Opracowanie i przypisy: Lucyna Marzec